

Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca“.

SEWERYN KROGULSKI.

NOTATKI
z Wystawy łowieckiej.

Do dziejów łowiectwa polskiego, do jego wspaniałych tradycji wiekowych, nowe przybyły szczegóły pełne bogatej treści, godne zużytkowania i upamiętnienia.

Nie było dotąd — mojem zdaniem — nigdy dogodniejszej sposobności od tej, jaką nastręcza „I międzynarodowa wystawa łowiecka w Wiedniu 1910“, do uzupełnienia naszej literatury łowieckiej i napisania na tej podstawie historji rozwoju łowiectwa polskiego od jego zamierzchłych początków aż po dzisiejszą dobę.

Takiego bowiem bogactwa okazów fauny ziem Polski rozebranej, jakie się na tej wystawie znajdują, mianowicie w oddziale gąlicyjskim, w pawilonie pruskim, arcyksięcia Leopolda Salwatora, ks. Hohenlohe, w sali gal. Zarządu dóbr państwowych (dawniej król. dóbr stołowych) wreszcie w osobno wystawionych gabinetach magnatów, polujących w rewirach ziem naszych pod trzema zaborami — oczy nasze po raz wtóry widzieć już nie będą.

Zanim jednak pióro historyka pracę taką podejmie, powinien mu „Łowiec“ nieco materjału dostarczyć.

Poza tem i naszemu ogółowi myśliwskiemu należy dać, acz nieudolny, lecz wiernie naszkicowany obraz tego, co Galicja wystawiła, oraz wskazać, gdzie nasz myśliwy ma szukać wspaniałych trofeów łowieckich na obszarach ziem polskich zdobytych.

Ponieważ genezę obesłania pomienionej wystawy znają czytelnicy z poprzednich numerów „Łowca“, przystępuję zatem w dalszym ciągu do zdania sprawy z otwar-

cia wystawy wogóle, a w szczególności z urządzenia naszego oddziału.

Otóż dnia 6. maja 1910., t. j. w przededniu zapowiedzianego otwarcia wystawy przez najdostojniejszego myśliwego, cesarza Fraciszka Józefa I., kiedy właśnie w oddziale galicyjskim dokonywamy w znoju ostatecznego rozmieszczenia trofeów, pojawia się licznie nasz Komitet wystawowy, a więc jego wiceprezes Juliusz hr. Bielski, prezes gal. Tow. łowieckiego Stanisław hr. Stadnicki, dalej pp. Tomisław Jędrzejowicz, dr. Władysław Sołowij, Stanisław hr. Stadnicki (junior), Albert Mniszek, Antoni hr. Wodzicki, Al. Weismann Zawidowski i dr. Kriser. Następnie przybywają minister dr. Dulęba, szef minist. Wacław Zaleski, bar. Goetz-Okocimski i wielu innych sprawie naszej szczerze sprzyjających.

Przed północą dnia tegoż, ostatnie uderzenie młotka i, dzięki energji komisarza naszego komitetu p. Drahonowskiego, oddział nasz gotów w zupełności, wyprzedzając w tem sporo innych oddziałów.

Nazajutrz 7. maja, o godzinie 10. rano, ma cesarz dokonać otwarcia wystawy. Tymczasem nocą nadchodzi żałobna wieść o skonie króla angielskiego; wskutek czego cesarz już o godz. 6. rano zarządza odwołanie uroczystego otwarcia przezeń wystawy i poleca obwieścić, że natomiast zwiedzi ją we wtorek dnia 10. maja, o godz. 2. po południu.

Obwieszczenie to jednak dochodzi do wiadomości kilkunastu tysięcy zaproszonych osób, zebranych na obszarze wystawy dopiero po godzinie 9-tej, z oznajmieniem, że od chwili tej uważa się wystawę łowiecką pod względem formalnym za otwartą — czyli, jak jeden z dowcipnisiów naszych zauważył: *„Die Jagdausstellung wurde geöffnet, aber nicht eröffnet“*.

I oto wystarczył jeden, obliczeniem ludzkiem nieprzewidziany szczegół, jak w tym wypadku kilka znaków odbitych elektrycznym aparatem, zaliczonym słusznie do cudów techniki, — aby zburzyć cały, w najdrobniejszych szczegółach opracowany program „Wielkiego dnia“ w historji łowiectwa wszechświatowego.

A szkoda! Bo inscenizacja dekoracji placu szpalerami strzelców tyrolskich, szwedzkich i innych narodowości w historycznych i tegoczesnych strojach, wspaniałemi toaletami pięknych pań, malowniczemi grupami umundurowanych i nieumundurowanych wielkich i maluczkich, która tworzyła śliczne ramy, sztafaż i tło do obrazu, na którem pojawić się miała postać sędziwego i powszechnie czczonego monarchy — wypadła wprost bajecznie!

I rozwiał się ten żywy, barwny obraz pod wpływem kilku słów w tłum rzuconych: „Cesarz nie przybędzie, dając tem wyraz żałobie. Wystawa otwarta“.

Odpadły więc uroczyste mowy, fanfary, chór strzelców, natomiast zasępiły się oblicza zebranych doznanym zawodem. Od tej chwili poczęło się zwiedzanie wystawy, co prawda tylko częściowo, bo wiele pawilonów zaraz zamknięto i zabrano się do ukończenia w nich instalacji.

Nadszedł nareszcie dzień i chwila, w której prezydjum central. kom. wystawowego, jako też prezesi wszelakich komitetów krajowych i reprezentanci państw zagr. całego niemal świata — z wyjątkiem Rosji i Ameryki, zebrali się w westibulu „Pawilonu ministerstwa robót publicznych“, celem przedstawienia się cesarzowi.

Dnia więc 10. maja o godz. 2. punktualnie, przybył Najdostojniejszy myśliwy w otoczeniu general. adjutanta hr. Paara i adjuntanta przybocznego majora hr. Hoyosa.

U wstępu powitał monarchę kilkoma słowy prezydent wystawy ks. Maksymilian Egon Fürstenberg. Potem podchodzi cesarz do ustawionych kształtem podkowy w westibulu według ścisłej etykiety pomienionych reprezentantów, poza plecyma których stoją zaproszeni także w skromnej liczbie niektórzy wiceprezesi, bądź też członkowie sekcji wykonawczych, między którymi znalazł się także i autor niniejszej notatki.

Z tego dogodnego miejsca korzystając, mogłem z blizka obserwować każdy wyraz spojrzenia i twarzy, oraz łowić uchem każde wypowiedziane słowo przez sędziwego monarchę, niemniej też każdą odpowiedź danego osobnika.

Rozpoczęło się to przedstawienie osobistości od księcia Wiktora na Raciborzu, reprezentanta Niemiec, a przedstawiał każdego ks. Fürstenberg, odczytując nazwiska z poszczególnych kartek, które następnie oddawał sekretarzowi ministerstwa, drowi. Sommaruga.

Galicję reprezentował, w zastępstwie chorego wówczas prezesa naszego Komitetu ks. Andrzeja Lubomirskiego, Juljusz Al. hr. Bielski, jako wiceprezes tegoż komitetu.

Ks. Fürstenberg, przedstawiając cesarzowi naszego reprezentanta dodał: „Galicja wystawiła piękne okazy i w stylu poważnym“. Na to rzekł cesarz: „O wiem, ten kraj posiada grube jelenie o mocnych („starke“) wieńcach i potężne odyńce“. Hr. Bielski dodał: „Galicja wystawiła zdobycze łowieckie tego kraju nie historycznie, lecz tylko z okresu ostatnich lat 30-tu“.

Po przedstawieniu wszystkich zebranych tu reprezentantów, udał się cesarz do pawilonu szwedzkiego, w którym oczekiwał go król Gustaw.

A teraz o tem, jak wygląda na tej wystawie, jakiej dotąd nigdy świat nie widział, łowiectwo naszego kraju.

Zrozumieć łatwo, że Galicja sama, bez współudziału reszty ziem wielkiej Ojczyzny naszej, będących już wiek z górą pod zaborem Prus i Rosji; bez dostarczenia nam zabytków przeszłości, tradycją lat uświęconych, a przechowanych w licznych muzeach krajów zabranych — nie mogła w swoim oddziale dać obrazu łowiectwa polskiego w pełnem tego słowa znaczeniu.

Z tych więc powodów — a nadewszystko z racji — przykro to powiedzieć, ale trzeba — iż nawet sławne Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie, żadnymi względami, jak inne nie krępowane — ani jednego nie dostarczyło nam okazu – musiano się ograniczyć do wystawienia tu trofeów myśliwskich jedynie z doby ostatnich lat trzydziestu, wyłącznie w kniejach galicyjskich zdobytych przez naszych myśliwców i obcokrajowych nemrodów w kraju tym polujących.

Jak więc widzimy, mimo świetnych tradycji i sławy, jakie łowiectwo polskie posiada, nie mogła go jedynie ta część kraju przedstawić retrospektywnie z jego zabytkami muzealnymi, ni też z tegoczesnymi nawet okazami żubrów, łosi, bobrów, kozic, świstaków i wogóle zwierza żyjącego w puszczy białowieskiej na Litwie, na bagnach Polesia, w Tatrach polskich i wreszcie w Pilawinie, sławnym z rozlicznych gatunków aklimatyzowanej zwierzyny. Poza tem brakuje temu oddziałowi wspaniałych okazów galicyjskiej fauny, wystawionych osobno przez arcyksięcia Leopolda Salwatora, ks. Hohenlohe i przez gal. Zarząd dóbr państwowych.

Tam więc należy szukać uzupełnienia obrazu naszej wystawy.

Wobec tego nie olśniewa oddział galicyjski oka widza — jak inne „salony“ sąsiednie, widokiem okazów, przedstawionych muzealnie według historycznego rozwoju, w przepychu dekoracji makat, malowideł, starej broni i wogóle przedmiotów będących z łowiectwem w związku. Natomiast myśliwy-znawca, a nie archeolog, rozkoszuje się tu widokiem zdobyczy myśliwskich tak wspaniałych, iż rzetelny budzą one podziw. A dowodem tego niezbitym to, że oddział nasz dostarczył „Pawilonowi konkurencyjnej wystawy“ sporo trofeów, z których, jak powszechnie wiadomo, olbrzymi niedźwiedź, ubity przez ś. p. Andrzeja hr. Potockiego, tudzież rożki *sarnca* (rogacza) ubitego w Nienadowej (wł. St. hr. Mycielskiego) zdobyły „rekord światowy“ i złoty medal. Liczne zaś inne w poprzednim numerze „Łowca“ poszczególnione, otrzymały bądź złote medale, bądź też nagrody I, II, lub III klasy.

Pod względem architektoniki wyróżnia się galicyjski oddział po nad inne tem, że nie jest „salonem“, lecz o poważnym stylu Galerją okazów, ujętych w ramy ornamentyki o motywie zdobiącym krużganki królewskiego zamku na Wawelu w Krakowie.

Dekoracji tej, zaprojektowanej przez artystę-malarza prof. Stanisława Rejchana — dokonała, według planu architekta Kazimierza Osińskiego — firma dekoratorska Ryszarda Ludwiga w Wiedniu. Instalacja zaś trofeów, jest dziełem wielkiego smaku preparatora zwierząt, Franciszka Abrahama — z wyjątkiem grupy skolskiej, instalowanej przez firmę „Bracia Hodek“. Wśród licznych preparatów, wyróżniają się robotą artystyczną egzemplarze sporządzone przez obie pomienione firmy wiedeńskie i preparatorów: Hartel i Kalkus we Lwowie.

Dla łatwiejszego przeglądu okazów, ściany Galerji podzielono na 26 pól i oznaczono je cyframi rzymskiemi od I. do XXVI. powołanemi w naszym katalogu.

Jako pamiątkową datę zapisać należy w annałach „Łowca“ dzień 13. czerwca. Tego bowiem dnia cesarz zaszczycił nasz oddział swoją bytnością.

Monarchę oczekiwało u wejścia do naszej Galerji prezydjum Gal. Komitetu w komplecie, mianowicie jego prezes książę Andrzej Lubomirski i obaj wiceprezesowie: Juliusz Aleksander hr. Bielski, bar. Jan Goetz-Okocimski i członek naszego komitetu, dr. Artur Kriser, których przedstawił cesarzowi minister dr. Władysław Dulęba.

Zwiedzanie rozpoczęło się według porządku od pola I-go. Objaśnień udzielali naprzemian ks. Lubomirski i hr. Bielski.

Uwagę najdostojniejszego myśliwego, a zarazem wytrawnego znawcy, zwracają najpierw, wystawione tu bajecznie piękne rożki sarnca (rogacza), ubitego w Nienadowej (własność Stanisława hr. Mycielskiego), odznaczone najwyższą nagrodą światowego rekordu i złotym medalem; dalej przepotężne szable dwu odyńców, ubitych przez Juljusza hr. Bielskiego, również w konkurencji premiowane.

Cesarz, oglądając te wspaniałe trofea rzekł: „Znam je już z pawilonu konkurencyjnego“. Ks. Lubomirski objaśnia. że dekoracji architektonicznej tej Galerji dokonano wiernie według stylu ornamentyki, zdobiącej krużganki zamku na Wawelu w Krakowie. Na to cesarz rzekł: „Rzeczywiście jest to styl pełen dobrego smaku“.

Przy zbiorze trofeów bar. Adolfa Brunickiego z Lubienia, wśród których akwarela pędzla Wojciecha Kossaka przedstawia grupę myśliwych z arcyksięciem Rudolfem na czele, oglądającym obfity rozkład ubitych lisów, — powiedział cesarz: „Wyłącznie lisy. Pamiętam! Było to podczas manewrów w Galicji“.

Następnie obejrzał monarcha dokładnie zbiór krzeszowicki i dzikowski. W pierwszym podziwiał gigantycznego niedźwiedzia, znanego mu już z hali konkurencyjnej, dalej wieńce jeleni karpackich (Jasień, Perehińsko), w drugim niżowych jeleni mokrzyszowskich. Dostrzegłszy tu obraz Kossaka, przedstawiający Zdzisława hr. Tarnowskiego, dojeżdżającego konno, bez sztućca (jeno z kordelasem) dzika, osadzonego na zrębie przez psy — zapytał ks. Lubomirskiego „Czy dzika szczutego psami bierze się kordelasem, czy też strzałem?“ Odpowiedź brzmiała, że psami sforsowanego odyńca bierze się kordelasem, ale często pakuje się mu kulę, aby psy od cięć jego szabel uchronić.

Poczem cesarz, obserwując kolekcję rożków Zdzisława hr. Tarnowskiego z 50-ciu rogaczy, ubitych na podjazd w jednym dniu — zapytał, czy i obecnie stan sarn w Dzikowie jest wciąż taki, iżby zdobycie takiego rekordu umożliwiał, co ks. Lubomirski potwierdził.

W dalszym pochodzie zauważył też cesarz kolekcję bardzo ładnych rożków ks. Jerzego Lubomirskiego z Rozwadowa.

Przy grupie okazów Moslerowskich — znanych z wystawy londyńskiej — zapytał o ich pochodzenie (Wełdzirz) i podziwiał tu poroże (wieniec) jelenia o nadzwyczajnej rozpiętości 151 cm., niemniej też okaz porykującego jelenia, przedstawionego w leżącej pozycji.

Przyglądając się trofeom krysowickim ekscel. Stanisława hr. Stadnickiego, wśród których imponuje rzadki okaz potężnych wideł jelenia wstecznika, powiedział cesarz: „Widzę tu w ogóle grube rogi“.*)

W grupie okazów łowieckich, wystawionych przez br. Groedla, pochodzących z dóbr Skole, podobały się monarsze duże niezwykle rysie, ogromne łopaciaste zrzuty jelenich rogów, wieniec premiowany w Berlinie w 1909 r. i dwa okazałe, zwarte rogami w walce byki (jelenie), znakomicie wypchane i przedstawione. Toteż pochwalił najdostojniejszy znawca tę grupę słowami: „Tak, Skole i ładnie i obficie wystawiło“. Do pochwały tej hr. Bielski dodał, że Skole uprawia wzorową gospodarkę nietylko łowiecką, lecz także i lasową.

Podczas oglądania rysiów skolskich zakomunikował cesarzowi hr. Bielski wiadomość — wskazując na br. Goetza Okocimskiego, że w tegoż rewirach złowiono właśnie żywcem dwa młode rysie. Z zaciekawieniem więc zapytał cesarz barona G. w jaki się to odbyło sposób i czy żyją te rysie. Zdarzenia o schwytaniu rysiów, z oznajmieniem iż żyją — wysłuchał cesarz z widocznem zajęciem i zadowoleniem.

Nadmienić tu trzeba, że br. Goetz-Okocimski nie zdradził w danej chwili swego zamiaru co do owych rysiów (które mają być prześliczne) ale to wiem, że są one już w schoenbruńskim zwierzyńcu cesarza.

W dalszym przeglądzie podobał się monarsze preparat łba jelenia, grubego 16-ka, ubitego przez br. Goetza Okocimskiego w Czarnoriczce, przyczem, zwracając się do zdobywcy tego okazu, zauważył: „Przy tym sposobie wystawiania sam wieniec traci na okazałości“. W tej uwadze mieści się wielkie znawstwo najdostojniejszego łowcy, gdyż rzeczywiście skutkiem wystawienia łba wraz z porożem, ostatnie znalazło się zbyt wysoko. Znamienna rzecz, że bystremu jeszcze oku sędziwego, bo 80 lat liczącego monarchy, nie uszedł ten szczegół.

*) Szkoda, że z tego zbioru nie wystawił hr. Stadnicki żadnego okazu w hali konkurencyjnej.

Zwiedzając kolejno dalsze pola Galerji, na każdym niemal kroku czynił monarcha swoje spostrzeżenia. I tak zwrócił uwagę w pochwalnych słowach na okazały łeb dzika, ubitego przez ekscel. Witolda Korytowskiego; na plany zameczków myśliwskich architektów Tadeusza Mokłowskiego i Józefa Jankowskiego; na piękne okazy kruszelnickie dra Artura Krisera; na wspaniałe wieńce jeleni ubitych w Wetlinie. Z ostatnich wyróżniają się okazałością 22-tak *(dwudwudziestak)* dra Adama Fedorowicza i trzy dwudziestaki hr. Weissenwolfa.

Co do tej grupy udzielał wyjaśnień hr. Weissenwolf, nadmieniając, że od 20-tu lat w Wetlinie poluje i wciąż jeszcze zdobywa tam grube poroża.

Po ukończeniu przeglądu naszej Galerji trofeów łowieckich, najdostojniejszy myśliwy i wytrawny znawca wyraził w pochlebnych słowach swoje zadowolenie o niej i, pożegnawszy naszych reprezentantów udał się do bukowińskiej sali.

Mimo więc, że oddział nasz, z powodów wyżej przytoczonych, nie posiada żadnego okazu fauny łowieckiej naszych ziem zakordonowych, a nawet tych, dość licznych trofeów, które zdobyli nasi i obcy nemrodzi w Galicji, atoli wystawili je bezpośrednio w hali konkurencyjnej, jak St. hr. Szeptycki, E. hr. Sylva Tarouca, ks. K. Trautmannsdorf, hr. Reseguier lub też — cudzoziemcy zwłaszcza — przyozdobili niemi własne pawilony i t. zw. „Erinerungstuebchen" — mimo to, powtarzam bez cienia chełpliwości lub szowinizmu: oddział galicyjski przedstawia się poważnie i budzi rzetelny podziw krytyków wytrawnych.

Dowodem tego opinja znawców tej miary co ks. Egon Fürstenberg, ks. Trautmannsdorf, ks. Alojzy Lichtenstein, hr. Sylva-Tarouca, hr. Hans Wilczek, hr. Colloredo-Mansfeld, margrabia Al. Pallavicini i wielu innych, którzy jeszcze podczas urządzania naszej Galerji każdy niemal przedmiot okiem znawcy oceniali.

A każdy z nich przyprowadzał — co i dziś czynią — jakąś powagę łowieckiego świata i, świadom już historji danych okazów, obznajamiał z nią widza gruntownie.

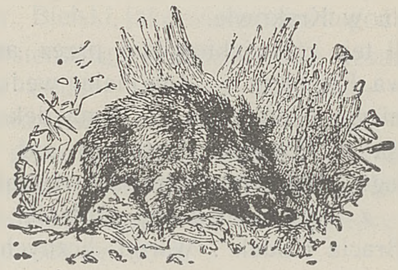
Już w pierwszych dniach po otwarciu wystawy zwiedzili Galerję trofeów naszych: austr. następca tronu, arcyksiążę Leopold Salvator, Fryderyk z synem, arcyks. Gizela z ks. Konradem i Jerzym bawar., król szwedzki, min. Dr. Bienert i ogromna liczba reprezentantów państw obcych oraz znakomitości wszelakiego pola i gałęzi.

Że niezwykłe Galerja nasza posiada trofea, stwierdza niezbicie i to, że następca tronu i arcyksiążę Leopold Salvator kilkakrotnie ją zwiedzali. Oprowadzając ostatniego, pozwoliłem sobie przypomnieć się z czasów, gdy arcyksiążę jeszcze jako kapitan artylerji we Lwowie, polował w Hubertowskich rewirach na słonki. Bardzo łaskawie i uprzejmie raczył to przyjąć i mile te czasy wspomina. Przyczem dodał, że rokrocznie w Galicji na jelenie poluje i zapytał czy już w jego pawilonie, trofea zdobyte w Mizuniu, widziałem. Oglądnąwszy co znamienitsze trofea po raz drugi, nadmienił uprzejmie, że sąsiednie „salony" zazdroszczą Galicji wspaniałych okazów.

Arcyksiążę Fryderyk, podziwiając zbiory krzeszowickie i dzikowskie, rzekł do mnie, że polował z hr. Arturem Potockim, wskazując zaś na akwarelę Kossaka, przedstawiającą Zdzisława hr. Tarnowskiego „na podjezdzie", usadowionego na wozie myśliwskim, linijką zwanym, rzekł do swego syna: „Widzisz i ja tak rogacze tam podjeżdżałem. Łatwo z takiego wozu zeskoczyć lub nie zsiadając zwrócić się do zwierza, by doń strzelić". Na walczące jelenie patrząc (grupa skolska), zauważył arcyksiążę: „To ładne! Ale to są igrające („spielende") a nie walczące jelenie". (Uwaga rzeczywiście trafna). Poczem dodał: „Dać właściwy wyraz preparatowi, rzecz niezmiernie trudna. Nauczony doświadczeniem na moich okazach, każę je teraz przedstawiać w pozycji leżącej".

Król szwedzki, który wystawił u siebie bajeczne rożki *sarnców* (rogaczy) naszego typu, kilkakrotnie podziwiał w naszej Galerji rożki nienadowskiego *sarnca*, wł. Stan. hr. Mycielskiego, tudzież niezwykle okazałe rożki *sarnca*, ubitego w Tyczynie, wł. ks. Janusza Radziwiłła.

Zanim po szkicu tym przystąpi „Łowiec" w dalszym ciągu do ścisłego opisu i oceny zdobyczy łowieckich naszej Galerji, co w znacznej części ułatwi mu katalog o tekście polskim i niemieckim, nowo opracowany — śmiem wyrazić tu zdanie własne i poparte opinją wyżej wymienionych znawców, że do wieńca tradycyjnej sławy naszego łowiectwa świeży przybył liść wawrzynu!



Wspomnienia z polowań na kaczki.

Było to w lecie. Korzystając z pięknej pogody, wybrałem się do Bukaczowiec, na kaczki. Tak staw, jak i otaczające go z trzech stron błota, wymiaru około 260 morgów, muszą zachwycić każdego myśliwca. Samo stawisko otoczone jest w koło wysokim lasem oczeretów, środek zaś usiany mnóstwem pływających większych i mniejszych spławów, zmieniających przez lato, parę razy swe położenie. Resztę przestrzeni, okrywa jakby płaszczem wodna pokrzywka i lilja, której białe kwiaty odcinają się ostro od tła zieleni Tylko miejsca najgłębsze, wolne od porostów, czernieją zdala złowrogo Nic więc dziwnego, że jest to ostoja różnorodnego ptactwa wodnego i błotnego. W górze, kwiląc od czasu do czasu, pławi się kania, nad oczeretami przelatuje chyłkiem z miejsca na miejsce błotniak stawowy, ze zieleni pokrzywek do zbawczych szuwarów pomyka z największym pospiechem i trwogą cała rodzina łysek. Zgrabne ich główki, to ukazują się, to nikną chwilami, zakrywane kwieciem lilji. Opodal widzę siedzącą na liściu lilji i muskającą swe pióra, kurkę. Spostrzegłszy mnie, jadącego zwolna, dała nura pod wodę.

Zresztą cisza głęboka.

Słyszę tylko plusk wiosła i szum oczeretów, poruszanych lekkim podmuchem wiatru.

Wtem z ogromnym kwakotem zrywa się para krzyżówek. Puścić wiosło i chwycić strzelbę, było dziełem jednej chwili. Huknął strzał jeden i drugi i dwie młynkując, spadają z powrotem tam, skąd przed chwilą poderwały. Jedną, podjechawszy dostałem wiosłem, drugą mój wierny towarzysz, który dotychczas spokojnie na dnie czółna spoczywał — skoczywszy w wodę, przynosi. Po strzałach

ożywił się staw cały. Z szumem zerwały się z oczeretów dwie czaple siwe, za chwilę ujrzałem i trzecią, purpurową. Parę stadek krzyżówek i cyranek z świstem pruło powietrze, a spłoszone czajki nawoływały się żałośnie.

Zwolna zaczęło się wszystko uspokajać. Czaple zniknęły na dalekim horyzoncie; czajki odzywając się jeszcze od czasu do czasu, zapadały jedna za drugą na błota poblizkie. Jeszcze tylko kaczki krążą, ale i one poczynają opuszczać się coraz niżej, aż wreszcie jedna oderwawszy się od stada, zapadła, a za nią z błyskawiczną szybkością zniknęła w szuwarach i reszta. Nastała znowu cisza. Słyszę tylko plusk wiosła i szum oczeretów...

Zmęczony parugodzinnem wiosłowaniem wśród labiryntu kęp, przybiłem do jednej z nich, wetknąłem wiosło w namuł i wsparłszy się o poręcz siedzenia, odpoczywałem. Panująca cisza dokoła, szum oczeretów, brzęczenie komarów rozmarzyły mnie. Tęsknica, za czemś nieuchwytnem, ogarnęła całe moje jestestwo, a z nią wraz odzywać się poczęły wspomnienia z lat najdawniejszych.

Oto zdaje mi się, że jestem 9-cio letnim chłopcem, w króciutkich, skórzanych tyrolskich hajdawerkach i zielonej kurtce. Ojciec mój, wesoło uśmiechnięty, zbliża się do ściany, na której wisiały wieńce jelenie, parostki sarnie, parę strzelb doskonałych, pasy, torby, troki, smycze, wszystko w efektownym nieładzie, jedno obok drugiego. Zdjąwszy swą ulubioną Diankę, kal. 12, stanął i patrzał na mnie. Zrozumiałem w lot co to oznaczało. Przyskoczyłem do ściany, chwyciłem torbę myśliwską ojca, przewiesiłem ją przez ramię, kapelusz na głowę i już byłem gotów do drogi. Włócząc się tak ciągle za ojcem po polach i lasach, nauczyłem się wnet zwracać baczną uwagę na wszystko co mnie otaczało. Widząc to mój rodzic, rad był bardzo. W przystępnych dla mnie pogadankach rozbudzał we mnie miłość przyrody i zamiłowanie do myśliwstwa.

Zwolna, z pomiędzy chaosu myśli, wyłania się jedno wspomnienie, ta fala nawrotna co wwierca się w mózg i serce, rozdrapując przyschłe rany na nowo, tem boleśniejsze, im więcej były zabliźnione! Widzę je w myślach dokładnie jakby to się działo w tej chwili. Jakbym patrzył po raz drugi na to, czego byłem świadkiem.

Było to 18. sierpnia r. 1894. Starszy o parę lat, z własną już strzelbą, polowałem z ojcem w Wodnikach obok Jezupola. Wieś Wodniki, położona jest nad brzegiem bagna, dawnem korytem Dniestru. Bagno owo ma kształt pierścienia, w środku którego znajduje się wyspa. Na niej samotna zagroda wiejska, w której w owym czasie mieszkał połowy. Chcąc się na wyspę dostać, trzeba było czółnem przejechać przez bagnisko, wolne od porostów.

Dostawszy się na wyspę i wziąwszy po drodze z chaty polowego żerdkę do wiosłowania, udaliśmy się na drugi koniec wyspy, gdzie ojciec miał swoje czółenko, tak zw. czajkę, żłobioną z jednego kawałka pnia.

Dzień ów, nie należał wcale do dni pogodnych. Niebo było zasłane chmurami i zanosiło się na deszcz. Djana widocznie odwróciła dziś od nas swe oblicze i szczęście nam nie sprzyjało. Ojciec był w złym humorze, a wyżlica także. Nie szukała dziś z taką werwą i zapałem, jak zwykle, a ja, widząc to, szedłem milczkiem obok ojca W tem o parę kroków przed nami, zrywa się kaczor krzyżowy. Strzeliłem raz i drugi, z ujemnym skutkiem. Widząc to ojciec, rzekł krótko „niezdara“. Huknął strzał i tym razem trafiony przez ojca kaczor, z łoskotem chlupnął w bagno. Mirka! „aport“ — krzyknął do wyżlicy. Lecz ona, z podwiniętym ogonem pod siebie, nie usłuchała rozkazu, choć była to suka, słynąca między myśliwymi z dobroci. Nie pomogły ani prośby, ani groźby. Ojciec widząc, że nic nie wskóra, zniecierpliwił się i zwróciwszy się do mnie, rzekł; „Siądź tu z suką i uważaj na kaczora“. Sam udał się do czajki, która opodal stała. Dobra

Na rogacza!

Myśliwy ze sztućcem w ręku krążący samotnie wśród rewiru to pan, to król borów, to orzeł, co w błękitach swe skrzydła złote rozpina.

Troski, ileby ich było zostały w domu, myśl wolna nad szmaragdową zielenią pól i lasów, buja jak srebrna mewa nad błękitną tonią stawu... czasem siądzie srebrny ptak na liściu wodnej lilji, by siostrzany kwiat objęciem otulić, bo łączą go z nim może majowej nocy czarowne wspomnienia; czasem przystanie myśliwy, spojrzy na łączkę, na linję, na stojący samotnie dąb i westchnie. Myśl jego wtedy mewą na te miejsca się zniża, strząsa z siebie srebrnych wspomień pióra... tu padł z jego ręki przed laty sędziwy odyniec, tam za młodocianych jego lat krwiożercza wilczyca opłaciła skórą niefortunne z nim spotkanie, a tam z pod tego dęba, wieje czar najdroższych jego wspomnień, tam ojciec jego, dawno już w grobie, wziął go, kilkonastoletniego chłopaka na pierwsze jego polowanie w kniei, gdy ze szkół na święta Bożego Narodzenia do domu przyjechał, a on, malec, zabił tam pierwszego lisa.

Myśliwy wyjrzał z lasu na pole. Wiatr płynący z rodzinnych jego łąk i łanów zdmuchnął z jego myśli ten zimowy z przeszłości obrazek. Stał przed nim łan smukłego żyta i chyląc ku niemu wąsate kłosy kłaniał mu się, jako swemu panu, i kłaniały mu się z dalszych łanów kłosy kwitnącej pszenicy, i źdźbła jeszcze niewykłoszonego owsa i chyliły ku niemu kwiaty na łąkach swe wonne korony.

A on szedł cicho po pod las ścieżyną, i rosło w nim serce rolnika, że rodzinna ojców jego ziemia, wdzięczna mu jest za wieloletnie trudy około jej użyźnienia poniesione, i rosło w nim serce łowca, bo co chwila spotykał sarny, wychylające się z lasu by napaść się na poblizkiej koniczynie.

Idąc tak cicho, robił przegląd tak gospodarczy jak i łowiecki.

Sarny go się nie bały; przechodził koło nich na kilkadziesiąt kroków, niektóre z nich tylko przerywały na chwilę wieczorną ucztę i z zielonym kęsem koniczyny w pyszczkach przypatrywały się ciekawie dobrze im znajomej zresztą postaci.

Opodal na łączce stał okazały szóstak. Myśliwy przypatrzył mu się dokładnie przez szkła. Był to jego dobry od dziecka znajomy. Osadził znów w tym roku piękne rożki. To dobry reproduktor, ojciec przyszłych pokoleń.

Na zrębie pasło się kilka sarn; były to kozy z małemi i dwa młode rogacze, wreszcie ze starego lasu wyszedł okazały sarniec.

Nasz myśliwy miał go już na oku, Różki, długie, szóstaka, brzydkiej formy, bez uperlenia. „Co roku to samo, z niego już nic lepszego nie będzie“. Za chwilę muszka sztućca drgała na tle łopatki zwierzęcia. Padł strzał

chwila upłynęła, zanim zdołał przebić się przez gąszcz szuwarów. Ale oto już wjeżdża na miejsca mniej zarosłe. Widzę go, stoi w czółenku i żerdką popycha. Już jest blizko kaczki. Wtem zrywam się, oczom nie wierząc. Czajka jednym końcem unosi się coraz wyżej, a drugim wraz z ojcem pogłębia się w bagnie. „Tatku mój! Tatku!“ krzyknąłem w największej trwodze. „Cicho bądź, nie krzycz, to nic“, odparł. „Biegnij do polowego, może już wrócił, niech weźmie długi sznur i tu przyjdzie. Biegaj“. Rzuciłem strzelbę na ziemię i pomknąłem, jak strzała wypuszczona z łuku, wprost do zagrody, gnany rozpaczą i trwogą.

Wreszcie dopadłem do zagrody. „Jest polowy?“ — krzyknąłem, do przestraszonej jego połowicy. „Niema, pojechał do wsi“. Nie czekając, pobiegłem do przewozu. Choć dzieciuch, zrozumiałem, że sam ojcu nie pomogę, a straszna myśl, czy zastanę go jeszcze przy życiu, czy się nie spóźnię, dodawała mi sił do tem szybszego biegu. U przeprawy jednak nie zastałem czółna, bo chłop przewożąc się, wziął je na drugą stronę. Nie namyślając się wiele, ściągnąłem kurtkę i trzewiki i skoczyłem w wodę. Pływać umiałem już wtedy doskonale, a wody się nie bałem. W parę więc minut byłem na drugiej stronie. Wskoczyłem do pierwszej chaty i krzyknąłem: „Ludzie, ojciec się topi!“ A że ojca i mnie znano tam w całej wsi, więc zaraz wypadł za mną chłop na podwórze i począł wołać: „Pan striłec ze Stanysławowa topyt sia! chłopci chodim!“ I rzeczywiście kilku z nich pobiegło w kierunku czółna za mną. Za chwilę byliśmy na drugiej stronie. Wdziawszy na siebie kurtkę, bosy, pełen rozpaczy ale i nadziei rwałem przed nimi, wskazując im drogę.

Dopadłszy brzegu, patrzę — ojciec zanurzony aż pod pachy w wodzie... Uradowany krzyknąłem: „Tatku, idą chłopi!“ W tej chwili właśnie stanęli nad brzegiem, ale zamiast ratować, gapią się.

Z płaczem poczynam prosić, by ratowali. Wtem jeden odzywa się „A tobi szczo? durnyj, jak choczesz, to idy“ i wskazał ręką w kierunku ojca.

Ogarnął mnie szał rozpaczy. Zerwawszy ze siebie ubranie chciałem skoczyć w bagno. Ale ojciec zoczywszy to, krzyknął: „Wróć!“ Posłuszny rozkazowi wróciłem. Ojciec począł do chłopów przemawiać sam, obiecując im pieniędzy za ratunek. Patrzałem im w twarze, jak w tęczę, chcąc zrozumieć, co uczynią Oni zaś stali i pocichu się naradzali. Wtem słyszę głos ojca. „Tosiek! mój Tosiek!“ i w tej chwili głowa ojca zniknęła pod wodą. Na wierzchu pomiędzy zielenią pokrzywek, pozostał tylko kapelusz. Z tą chwilą ja straciłem ojca i przyjaciela, a myśliwi ówcześni serdecznego druha.

Wstrząsnąłem się i przykre wspomnienie prysło. Przypomniałem sobie, że czas wracać. Odbiwszy od wysepki skierowałem czółno w smutku ku brzegom, na które kładł się mrok nocy, obejmującej zwolna staw cały w swoje królestwo spokoju i ciszy....

Antoni Herbert.

„Łowiec Polski“

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem“ Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

(Ciąg dalszy.)

Łowiectwo do XIV. wieku.

W rzeczy samej i dziś jeszcze wielu podziwia, i na różne wpada mniemania, słysząc od myśliwego, że w jego jest mocy, w jedno miejsce sprowadzić kilka zajęcy.

a rogacz runął na ziemię krasząc farbą liście malin i ostrężyn.

Popłoch ogarnął pasące się na zrębie sarny. Wszystko znikło w popłochu, a niektóre beczeniem w poblizkich zagajnikach dawały wyraz swemu przestrachowi.

To padł piorun, to władca tych borów, okazał swą siłę!

Zmrok ogarniał bór, sierp księżyca kąpał się w rosie zwieszającej sie z liści krzewów, a na koronach anemonów i storczyków leśnych rozlśniewał ją w snopy drogich kamieni. Po zrębie, zbożach i łąkach pasły się znów spokojnie płowe rzesze.

Myśliwy z strzelbą na ramieniu szedł żwawo ku dworowi, ukrytym w wieńcu lip sędziwych.

U bramy ogrodu przywitały go psy głośnem szczekaniem i łaszeniem się, a legawiec czując farbę ubitego, pozostawionego na leśniczówce rogacza i obwąchując buty myśliwego, rozumnym swym wzrokiem robił mu wyrzuty, że nie dał mu brać czynnego udziału w tem, tak ponętnym dla niego, myśliwskim epizodzie.

* * *

Sędziwy rogacz z „Czarnego potoka“ spoczywał w gąszczu leszczyn i maliniaków. Słońce chyląc się już ku zachodowi przeglądało przez czuby za zrębem stojących sosen. Z poblizkich pól dochodził śpiew żeńców, w poblizkiej łączce wołał zachrypniętym głosem chróściel, a na młodym. tuż obok stojącym dębczaku, rodzina srok urządzała hałaśliwą awanturę.

Sędziwy pan z „Czarnego potoka“ po dobrej drzemce podniósł nagle głowę i nadstawił łyżki w stronę zrębu. Doszły jego czujnych uszu odgłosy jakby ludzkich kroków, później coś jakby łomot w krzakach i trzask suchych deptanych nogą gałęzi. Za chwilę jednak ucichło wszystko.

Rogacz słuchał czas jakiś, słuchał uważnie, lecz słuch jego nie odczuł już nic podejrzanego. Cisza w pobliżu była zupełna.

Tylko zdaleka płynął śpiew kończących żniwo żeńców, to znowu dźwięk gdzieś wśród łąki ostrzonej kosy. Z koniczyny dochodziły bicia przepiórek.

Pan z „Czarnego potoka“ myśląc jeszcze o słyszanym niedawno w pobliżu szmerze, rzekł do siebie: „To znowu jakaś dziewka zbierająca grzyby! Mógłby raz *człowiek* zaznać spokoju“.

I popadł w słodkę zadumę:

Niedalej, jak dziś rano miał bajeczną miłosną przygodę. Tu na poblizkim zrębie spotkał młodziutką małą sarenkę, która po krótkich zalotach z jego strony otworzyła mu swe serce, nie zważając na jego wiek sędziwy. Strasznie ponętna ta mała, a taka skromna, taka uległa! Takiej rozkoszy nie zaznał on już dawno.

Wtem z poblizkiego zrębu doszedł jego uszu zalotny i pieszczotliwy dźwięk: fib, fib, fib, fib.

Rogacz nastawił łyżki. Chwila ciszy i znowu fib, fib.

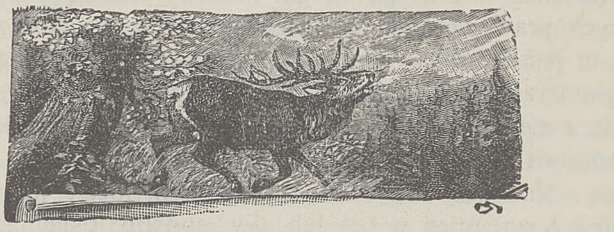
„Nienasycona ta moja mała“, rzekł do siebie pan z Czarnego potoka, „ale z tego nic nie będzie; nie mam

Niepodobną staje się rzeczą, tak bojaźliwe zwierzę, jak zając, do oznaczonego zwabić punktu, gdzie niespodzianie wpada w sidła na niego zastawione; jednak wiadomo nam, że sztuka ta nie jest dziś już tajemnicą i do powszechnych myśliwych należy wiadomości. O ile więc musiało zadziwiać ludzi, i na różne doprowadzać domysły w owych wiekach, kiedy widzieli, że lis, to najchytrzejsze zwierzę, powolnym się staje myśliwemu, i pomimo wrodzonej swej ostrożności, samochcąc szuka swej zguby, i nadzwyczajną siłą pociągnięty, wpada w zastawione na niego żelazo!

Wszystkie podobne wiadomości, były tajemnicą sztuki myśliwskiej, a to co dziś objaśnione jest w nauce łowiectwa, naturalnemi przyczynami i wszystkim znane, było wówczas udziałem małej liczby myśliwych. Stąd powstały wszystkie czary i gusła, o których tyle wtedy rozprawiano, a kto sztuki podobne w wyższym posiadał stopniu, uważany był za czarownika, któremu zły duch służył, i jego rozkazy wypełniał. Jest to w naturze ludzkiej, że każdy pragnie być wyższym w swoim zawodzie. Gdy zaś podobne wiadomości, czyli raczej sekreta myśliwskie, pewną nadawały powagę i znaczenie w towarzystwie i gdy posiadanymi fortelami doskonalszym okazać się mógł myśliwiec, od czego jeszcze dalsze widoki i korzyści zależały; dla tych przyczyn sekrety podobne starannie ukrywano, i tylko jako spuścizna z ojca, przechodziły na syna, lub drogim okupem były nabywane; przy zdarzonych zaś okazjach, mianowicie na łowach i biesiadach myśliwskich, kiedy się zwolennicy Nemroda, wiadomościami swemi dla własnej ambicji popisywać musieli, starano się je mistycznie objaśniać, żeby tem więcej na siebie zwrócić uwagę ludzi mniej doświadczonych.

Oprócz tego, cośmy wyżej przytoczyli, znajdujemy jeszcze na każdej karcie dziejów narodowych jasne dowody, że najmilszem zatrudnieniem przodków naszych była wojna, a w czasie pokoju łowy. Pod tym względem widzimy, że całą Europę jeden i ten sam duch czasu ogarnął, a nasza szlachta te same posiadała uprzedzenia, co do wyboru zatrudnień, jej stanowi odpowiednich, i w niczem się nie różniła od szlachty zagranicznej, która sądziła, że jako szlachetnie urodzona, tylko do czynów wojennych i łowów była stworzona. We wszystkich więc krajach oddawał się stan rycerski namiętnie rozrywkom myśliwskim, i w owych czasach, takie same było współubieganie się między właścicielami ziemskimi w hodowaniu domowych psów, utrzymywaniu lepszych i kosztowniejszych sprzętów i narzędzi myśliwskich, jak dziś w uprawie rolnego gospodarstwa. Dziedzic w owych wiekach, tak się szczycił piękną psiarnią i dobrze urządzonymi łowami, jak dziś dobry rolnik okazaniem czystej rasy merynosów, poprawnymi gatunkami rogatego bydła, lub innemi zaletami porządnego wiejskiego gospodarstwa. Takie w owych czasach panowały wyobrażenia o przeznaczeniu człowieka wyższego urodzenia; a jeżeli są one dzisiaj z duchem naszego czasu zbyt sprzeczne, niejednemu nawet śmiesznemi wydawać się mogą, zważyć powinniśmy, że ówczesna młodzież w takich zasadach była wychowaną. i z młodości w nią wpajano, że szlachcic rodzi się tylko do wojny i do myśliwstwa. Duch czasu był wszędzie jeden i tensam; te same wyobrażenia o godności człowieka wyższego rodu miała szlachta zagraniczna, co i nasza; a sąsiedzi pod tym względem, o tyle tylko na większy zasłużyć mogą szacunek, że podobne ich wyobrażenia, a raczej uprzedzenia, prędzej u nich niknąć zaczęły i przed coraz większą oświatą ustępowały, aż nareszcie zupełnie znikły, i słabe tylko ślady swego istnienia w historji zostawiły; kiedy przeciwnie u nas, przez długi czas wyobrażenia tego rodzaju w niczem się nie odmieniły i ledwie na początku XIX. wieku inną przybrały postać.

Dla wywyższenia się nad innych i dla zasłużenia na imię doskonałego myśliwego w kraju, a przynajmniej w okolicy. szukano różnych sposobów. A że sztuka układania psów różnego gatunku, oraz sokołów, należała już do zwyczajnych umiejętności myśliwskich, bo dowodne psy i sokoły u każdego szlachcica można było znaleźć; starano się więc nowemi odkryciami wsławić się, nie szczędząc, ani czasu. ani cierpliwości, w oswajaniu i wyuczaniu różnych dzikich zwierząt, mianowicie: lisów, kun, wyder i zajęcy. (C. d. n.)



trzech lat moja kochana, a dzisiejszy poranek dobrze w kościach czuję. Możesz trochę poczekać“.

I znowu fib, fib, słychać na zrębie, a rogacz leży cicho i apatycznie nadsłuchuje. Cisza zaległa las. Umilkły śpiewy żeńców i dźwięki kos. Tylko w łące darły się przeraźliwie chróściele.

Wtem znów na zrębie rozlega się głos sarny — lecz już nie wabiący i zalotny, ale jakiś inny, jakby wyraz bolu, a zarazem rozkoszy, gniewu i uległej rezygnacji.

Pan z „Czarnego potoka“ zerwał się na równe nogi!

„O drabie! zawołał ze zgrozą, to ten dandys z Czerterza, o chudych, smukłych różkach! Oduczę cię mi w drogę włazić. Dam ja ci łupnia!“

I wściekły z gniewu i zazdrości wyskoczył na zrąb.

Na zrębie stała rzeczywiście wiotka jego kochanka, ale sama — rywala nie było.

Rogacz starał się wyrozumieć, co właściwie się stało, chciał robić kochance gorzkie niewierności wyrzuty, gdy wtem. z grubego lasu jakby piorun uderzył. Padł strzał. Sarenka przerażona, w zgrabnych susach uciekała w gąszcze. Przystanęła tam z trwogą na kochanka czekając.

Lecz pan z „Czarnego potoka“ leżał znów cicho na posłaniu z liści i traw, a krew sącząca się z jego serca opasywała pierś jego rubinową wstęgą i spływała na mchy i kwiaty drobnych jagód leśnych.

Noc zaległa bór — gdzieś zdaleka dochodziło uszu myśliwego, stojącego nad zabitym rogaczem, beczenie sarny.... *Albert Mniszek.*



Prawo lotu w wietrze.

Wiatr może przyczyniać się do wzrostu chyżości, a tem samem zmniejszać pracę motoru. W rezultacie bowiem składowe ruchu wiatru są ułamkami całkowitego ciśnienia. W tym też względzie sama natura udziela nam wyjaśnienia, a to w postaci znanego zjawiska, iż ptaki przelotne, jako też gołębie pocztowe, wolą lecieć zawsze przeciw wiatrowi, aniżeli z wiatrem; wiatr bowiem z tyłu, zmusza je do znacznej pracy skrzydłami, obracanej na osiągnięcie szybkości znacznie większej od chyżości wiatru, a praca ta może w danych wypadkach być nawet dziesięć razy większą, niż praca, potrzebna do posuwania się naprzód.

Analiza kinematyki ruchu lotu nie odpowiedziała na pytanie, w jaki sposób ptaki zyskują w powietrzu punkt zaczepienia, a formuły matematyczne nie rozwiązały problemu żeglugi powietrznej. Natomiast doświadczenia oparte na danych, dostarczonych przez fizjologów, obserwatorów i inżynierów wykazały, że człowiek może uzyskać punkt zaczepienia w powietrzu w sposób taki sam, w jaki go uzyskuje zwierzę na lądzie i ryba w wodzie. Tu znowu spotykamy się z prawem, którego doniosłości dość silnie zaakcentować nie można, z prawem lotu we wietrze, o którem tegoż przeciwnicy zapominają zbyt często i zbyt łatwo.

Umiejętność posługiwania się tem prawem w powietrzu z niezwykłą łatwością i brawurą, jest właśnie tajemnicą ptaków, abstrahując już od cudownej konstrukcji skrzydła, piór i całej budowy anatomicznej ptaka. Ptaki znają wszelkie poruszenia powietrza, dla nas prawie jeszcze wcale niedostrzegalne, i z tej przyczyny nie pozostaje dla nas nic innego, jak wierne kopiowanie, aż do najmniejszych szczegółów, tych stworzeń.

Ptaki, które są, podobnie jak aeroplany, cięższe od powietrza, nie mogą się jak i one, wyłamać z pod ogólnych praw, rządzących naszą atmosferą, to też z a s a d a lotu jest w obu wypadkach ta sama; dowiedzioną jest bowiem rzeczą, że ani ptaki, ani aeroplany, nie mogą wznieść się z ziemi, bez pewnej chyżości własnej, uzyskanej zapomocą rozpędu.

Nim ptak znajdzie się w pełnym locie, musi podlecieć, t. zn. musi w ten lub ów sposób osiągnąć pewną chyżość własną, tak dużą, aby wytworzone ciśnienie powietrza mogło go unieść. Musi więc mieć pewien sposób do rozwinięcia tej chyżości, a zdobywa ją bądź to przez znaczny skok w górę, bądź też przez skok z miejsca wzniesionego. U wielkich ptaków z gatunku brodźców, możemy doskonale zaobserwować ich rozpędzanie się biegiem, przyczem pomagają sobie gwałtownymi ruchami skrzydeł, aż do chwili, w której zdobędą w powietrzu pewny punkt zaczepienia.

Podobnie zachowuje się drop, kulon i wielkie drapieżce, jak orzeł i sęp. — Ptaki z gatunku kur, jak bażant lub przepiórka, stosują przy podrywaniu się do lotu skok w górę, przy równoczesnem trzepotaniu skrzydłami i całym korpusem tak gwałtownem, że towarzyszy mu niedobrowolny krzyk ptaka, spowodowany najprawdopodobniej bardzo znacznym wysiłkiem wszystkich mięśni Jeszcze inne, z gatunku ręczyńców, jak jaskółka, posiadające skrzydła cienkie a bardzo wydłużone, nogi zaś wątłe, wzlatują z miejsc wzniesionych, jak gdyby zeskakując na ziemię, następnie ześlizgują się po wietrze, i stosownie do okoliczności stosują lot żaglowy lub wiosłowy. Ptaki o skrzydłach bardzo krótkich, jak np. kaczka, wzlatują przez silny odskok od wody, ewentualnie ziemi, zwracając się zawsze dzióbem pod wiatr i wznosząc szyję wysoko w górę.

Bez względu na sposób, jaki ten lub ów ptak stosuje w celu wzniesienia się w górę, jest rzeczą pewną, że skrzydła (którym odpowiadają płaszczyzny nośne w aeroplanie) służą do stworzenia punktu zaczepienia w powietrzu, oraz, iż punkt ten jest tem pewniejszy, im znaczniejszą jest chyżość rozwinięta przez ptaka.

Nie mamy bynajmniej zamiaru rozpatrywać wszelkich poruszeń skrzydeł, jakie ptak wykonuje w czasie lotu, nie zastanawiamy się też nad kwestją sterowania aeroplanami. Są to rzeczy bardzo zajmujące dla tych, którzy studjują aż do dna kwestję lotu ptaków i lotu sztucznego. Ograniczamy się tylko do stwierdzenia, że zasada lotu jako takiego, a tembardziej zasada rozpoczęcia lotu, t. j. p o d l a t y w a n i e, jest taka sama u ptaków, co i u awiatorów.

Na pogląd, iż umiarkowany wiatr sprzyja podlatywaniu ptaków, godzą się wszyscy badacze i obserwatorowie, a pomiędzy nimi także i profesor słynnego Collége de France, M. Morey. Oto jego zapatrywania, wypowiedziane w tej sprawie:

„Wiatr umiarkowany jest pożądany dla każdego ptaka w chwili, w której porywa, czego najlepszym dowodem fakt, że wszystkie ptaki porywające w czasie wiatru, podlatują, zwracając dziób przeciw wiatrowi. Fakt ten, dobrze znany i dowiedziony licznemi obserwacjami, świadczy, iż powietrze spokojne stanowi gorszy punkt oparcia dla skrzydeł ptaka, niż powietrze wzruszone prądem wiatru.

W czasie absolutnej ciszy poderwanie jest dla ptaka bardzo trudne. Myśliwi wiedzą doskonale z praktyki, że podczas ciszy, kuropatwa *twardo dotrzymuje*, t. zn. podrywa bardzo niechętnie i dopiero wtedy, gdy się niemal na nią nastąpi. Pochodzi to stąd, że pragnie sobie zaoszczędzić wielkiego wysiłku, koniecznego do wzlotu, w czasie którego słyszy się krzyk ptaka, nieodłączny od pierwszych poruszeń skrzydeł. Przy najsłabszym nawet wietrze, porywają kuropatwy bardzo łatwo, z wysiłkiem nieznacznym i niemęczącym je widocznie, ponieważ w tych wypadkach nie wydają żadnego głosu. Drapieżce, porywające z miejsca, siedzą zawsze „dzióbem pod wiatr“; to samo odnosi się do skowronka, kiedy trzepocąc jak motyl skrzydełkami, unosi się na podobieństwo Ducha św. nad zwierciadłem*)

Ptaki nadwodne i morskie z gatunku mew, polujące na ryby, uprawiają swe rzemiosło również z „dzióbem pod wiatr“. Im silniejszy wiar, tem bardziej nieodzownym jest ten warunek. Wspomniany profesor M. Marey, obserwował zachowanie się gołębi w chwili kiedy silny wiatr wiał równolegle do muru gołębnika. Każdy z wylatujących gołębi przypadał naprzód ku ziemi, a więc do tej wysokości, gdzie wiatr nie daje się prawie odczuwać, okrążał gołębnik, aż do chwiii, w której zwrócił się zupełnie pod wiatr i wtedy dopiero rozpoczynał lot. Z pomiędzy kilkunastu, które opuściły gołębnik, ani jeden nie zaniechał tego manewru“.

Że specjalnie gołębie szukają zawsze kierunku pod wiatr, i krążą tak długo, dopóki się dokładnię z kie-

---

*) We Francyi polują... na skowronki w ten sposób, że ustawiają na odpowiednich przyrządach zwierciadła, których blask nęci te ptaki i zbliża je na odległość strzału.

runkiem wiatru nie zaznajomią, można doskonale obserwować wtedy, gdy gołębie z jakiegokolwiek miejsca lot rozpoczynają.

Tutaj trzeba zauważyć jeszcze jedną rzecz, a mianowicie wpływ wysokości, i wpływ rozrzedzonego powietrza na lot ptaków *).

Próby czynione w tym kierunku z gołębiami, które zabierali ze sobą aeronauci, wykazały, że gołębie wyniesione na wysokość 4.000 m. i wypuszczone z klatki, spadały z wyprostowanemi skrzydłami, jak kamień, aż do tej wysokości, w której napotykały gęściejsze warstwy powietrza, z tej prostej przyczyny, że powietrze w tej wysokości dość znacznie rozrzedzone, uniemożliwiało im lot. Do tej przyczyny dodać trzeba dwie inne, a mianowicie zimno i niemożliwość orjentowania się, spowodowana tem, że gołębie nie widziały ziemi; widok bowiem ziemi i pamięć, umożliwia zarówno gołębiom jak i wszelkim ptakom przelotnym orjentację.

Analogiczne zjawisko co do niemożliwości lotu w znacznej wysokości obserwował w Ameryce znany awiator Paulhan, jeśli jest prawdą, że istotnie zdobył rekord wysokości na aeroplanie, wzniósłszy się na 1500 m. (Z uwagi, że wzlot swój przedsięwziął 100 m. nad poziomem Salt Lake City, położonego 4.000 m. nad poziom morza, znajdował się de facto w wysokości 5.600 m. — a w tych regionach powietrza jest już znacznie rozrzedzone! Można więc z całą pewnością stwierdzić, że nie przez kaprys, ale przez istotną niemożliwość utrzymania się w powietrzu rozrzedzonem ani ptaki, ani tem mniej awiatorzy, nie mogą się wznieść do wysokości bardzo dużych.

Z drugiej strony wiemy już, że opór powietrza rośnie z kwadratem szybkości, a zatem wiemy i to, że im ptak silniej i szybciej uderza skrzydłami, tem pewniej utrzymuje się, odbija się w powietrzu. (Jest to to samo zjawisko co to, które występuje w czasie pływania: im pełniejsze wykonywamy półkole wyprężonemi ramionami, im większą ilość wody wprawimy w ruch, i im silniej wyprężymy równocześnie nogi, tem szybciej posuniemy się naprzód, a więc tem samem o tyle pewniej utrzymujemy się na powierzchni wody). Co więcej, jeśli w danym okresie czasu jeden ptak poruszy skrzydłami *2 razy* prędzej niż drugi, to wywołuje *4 razy* większy opór powietrza: to zaś tłumaczy jakim sposobem ptaki różnych rozmiarów i różnej powierzchni skrzydeł mogą latać mniej więcej z tą samą szybkością. W dalszej konsekwencji mamy tu także odpowiedź na pytanie dlaczego ptak nie może rozporządzać lotem dowolnie szybkim, i dlaczego istnieje pewna granica szybkości dla lotu każdego ptaka, której żaden ptak przekroczyć nie może. (C. d. n.)



*) Patrz artykuł p. A. Mniszka „U kresu krainy lotu“ w Nr. 10. r. 1908 „Łowca“.

„Sylwan“.

Pogawędka o ptakach śpiewających.

W rzędzie zwierząt, któremi leśnik szczerze zajmować się powinien, należy się bezsprzecznie skrzydlatym śpiewakom honorowe miejsce. One świergotem swym dają życie borom i lasom, one rozweselają nasze oko swą barwnością i pięknem swych kształtów. One niszczą niezliczone zastępy szkodliwych owadów w każdej formie: zjadają tysiącami jaja, gąsienice, poczwarki, łowią chrząszcze, ćmy i motyle. To też na inną opiekę zasługują — niż ta, jaka im obecnie przypada w udziale.

Wystarczy przeciwstawić skrzydlatych naszych przyjaciół zwierzynie płowej. Tej podajemy w zimie karmę, niszczymy lisy, gdzie bardzo mało zajęcy, czy też sarn, tam sprowadzamy je i wypuszczamy.

Po kilku latach racjonalnej myśliwskiej gospodarki roi się teren od zwierzyny, nawiasem mówiąc szkodliwej dla gospodarstwa leśnego. A dla naszego skrzydlatego drobiazgu nic nie czynimy! Nie jestem pesymistą, nie posądzam też kolegów zawodowych o brak dobrych chęci, może bowiem zbyt rzadko temat ten poruszamy.

Niech więc dzisiejsza pogadanka służy dobrej sprawie, jeżeli zainteresuje czytelnika, jeżeli wywoła dalszą dyskusję, zadanie moje będzie spełnione,

I.

Śpiewające ptaki leśne wielu mają nieprzyjaciół w świecie zwierzęcym. Nie będę nudził wyliczaniem znanych sposobów tępienia. Sądzę, że dobry leśnik i myśliwy nie pozwala na wpół zdziczałym kotom wałęsać się po lesie, i garścią śrutu wymierza sprawiedliwość. To samo należy się wiewiórkom.

Lecz innego sposobu jąć się musimy, jeżeli chcemy skutecznie obronić naszych protegowonych przed napaścią drapieżców lotnych: jastrzębi, krogulców, sokołów, puhaczy i sów. Znanym jest ogólnie zwyczaj tych rabusi, siadania na wysokich drzewach. Są to dogodne punkty obserwacyjne. Stamtąd drapieżnik bada bystrym wzrokiem okolicę i wypatruje swą zdobycz.

Ten zwyczaj łatwo wyzyskać może myśliwy. W zrębach nie brak dawnych wiatrołomów 4—6 m. wysokich, stanowiących najulubieńsze placówki drapieżców. Na kilku najwyższych wiatrołomach proszę umieścić po jednem palowem żelazku (Raubvögelpfahleisen) bez żadnej przynęty, i żelazko silnym sznurkiem lub łańcuszkiem do drzewa przymocować. Żelazek tych idzie 7 na pakiet 5-cio kilowy, koszt zakupna nieznaczny, bo cała przesyłka wynosi około 15 koron, a wynik doskonały. Godne polecenia źródła R. Weber, Raubtierfallenfabrik, Haynau, Schlesien.

Dla zachęcenia personalu ochronnego do pilnego nastawiania i rewidowania tych żelazek, zalecam porozumieć się z K. Albertem preparatorem w Wiedniu, który kupuje każdą ilość złapanych, lub świeżo zastrzelonych ptaków i płaci za nie wysokie ceny (za jastrzębia 2 korony, srokę, sojkę 50 halerzy, kanię 1·20 K. etc.) a nadto przysyła gotowe nalepki adresowe dla ułatwienia wysyłki i zwraca koszta opłaty pocztowej.

Należytość za zakupione ptaki nadsyłana co miesiąc przez pocztę, jest znacznem źródłem dochodów dla personalu.

Na przykład przytoczę, że jeden z tutejszych panów leśniczych, któremu dałem 6 żelazek, zarobił sobie w dwu miesiącach około 40 koron; między innemi złapał puhacza, za którego Albret zapłacił mu 12 koron.

Oprócz dochodów miał zapewne, jako dobry myśliwy, niejedną wesołą chwilę, gdy zbierał swą zdobycz, w końcu zaś pozostało mu chlubne przeświadczenie, że rewir jego jest oczyszczony z drapieżców.

A żelazka? — Te dalej pełnią w dzień i w nocy niestrudzenie swą służbę, wypędzając nieproszonych gości z sąsiedztwa.

W okolicach górskich i podgórskich dziesiątkują kuny szeregi naszych ptaków pożytecznych. Nietrudno temu zaradzić. Wszak zrobiliśmy już poprzednio znajomość z Weberem, więc sprowadzamy zwykłe talerzowe żelazko Nr. 11 b. Następnie strzelamy koło domu wróble i podrzucamy je kunie przez kilka dni stale w jedno i to samo miejsce w lesie. Gdy się dobrze zanęci, stawiamy żelazko najlepiej bez żadnej przynęty. Naturalnie miejsce na żelazko powinno być wcześnie w ziemi wyżłobione i wypełnione końskim nawozem, tak, aby w danej chwili łatwo można było żelazko założyć i szczelnie je przykryć, nie zmieniając zupełnie zewnętrznego wyglądu terenu.

Polecając żelazko Nr. 11 b, nie mogę się powstrzymać od ostrzeżenia przed łapką piękną sprytnie zbudowaną i bardzo dogodnie drewnem wyłożoną Nr. 44 a. Doskonały mechanizm tej łapki funkcjonuje niezawodnie, ale w pokoju. W lesie nie radzę jej nastawiać, bo wymiary są błędne, przeto łatwiej można kunę spłoszyć niż złapać.

II.

Wspomniałem na wstępie, że myśliwi sprowadzają zwierzynę płową z zagranicy i puszczają w nasze rewiry, dla odświeżenia krwi, czy też dla uregulowania stosunku płci, słowem dla podniesienia zwierzostanu. Wyniki są doskonałe, ale co taka zabawa kosztuje, wiedzą ci, którzy sprowadzają. Po zapłaceniu porta, opakowania, ubezpieczenia życiowego zwierząt, wypada jedna zajęczyca w lutym na przeszło 40 koron i to tylko wtedy, jeżeli się równocześnie sprowadzi co najmniej 15 sztuk.

Czyż nie moglibyśmy dla niektórych okolic sprowadzać ptaków śpiewających? Za cenę jednej zajęczycy przeszło setkę tego pożytecznego drobiazgu nabyć można.

Proszę posłuchać; przytaczam kilka anonsów z czasopisma „Geflügel-Börse“ w Lipsku.

Temida niemiecka zapewne ma oczy dobrze zawiązane, „Tierschutzvereiny“ spoczywają na laurach. W Galicji tak odległej od ,,kulturalnych“ prowincji, za podobne ogłoszenia możnaby znaleźć się w kozie.

Ale do rzeczy:

1) Verkaufe Waldvögel: Buchfinken 100 Stk 26 M; Rote Hänflinge 50 Stk 22 M; per Dutzend Singlerchen 5 M; Heidelerchen 5 M; Grünfinken 4 M; Goldammer 4 M; Bergfinken 3 M; unter bekanter Reellität. Wilhelm Kleyne, Weurt 6 Nijmegen, Holland.

(Ten anons dotyczy samców, jak wogóle wszystkie anonsy, o ile nie są samice wyraźnie wymienione):

2) Waldvögel gut eingefüttert. weit billiger wie jeder Konkurrent. Tiefere jedes Quantum sofort. Buchfinken, Grünfinken, Goldamm, Rohrramm, Rohrsperling, Zeisig. Weibchen, 30 d. 100 Stück sortiert nach Wunsch 25 M. Hänflinge, Heidelerchen, Singlerchen 60 d. etc. Verrpackung 50 d. Garantiere für gute Ankunft, Joan Donwen. Zoolog. Handlung Düsseldorf, Kirchstr. 9.

Prócz tych anonsów wiele innych źródeł mogę wymienić: V. Schlegel, Tierpark, Hamburg, Eduardstrasse 39; O. Horn, Tierhandlung Gremen; K. v. Embden, Groesbeck, Holland; Bruynooghe, Antwerpen-Belgien etc.

Z powyższych anonsów widzimy, że sprowadzanie pożytecznych ptaków śpiewających bynajmniej nie jest kosztownem. Zwłaszcza samiczki są tanie, 100 sztuk kosztuje 25 M t. j. 40 koron, a przy zakupnie znaczniejszej ilości zapewne jeszcze mniej. A przecież sądzę, że przedewszystkiem dla sprowadzających powinny mieć wartość samiczki, bo liczba samców w naturze i tak przeważa. Wystarczy przypatrzyć się w jesieni gromadom szczygłów, ziemb, gilów i t. p., aby się z tem zdaniem zgodzić. Zapewne są samce odporniejsze, a samiczki wrażliwsze, więc też samiczki łatwiej giną w zimie wskutek mrozów, lub z braku pożywienia.

Przyczyny niekorzystnego stosunku płci u ptaków leśnych należy też szukać w inceście t. j. parzeniu blizko pokrewnych egzemplarzy. Bezpośredniem następstwem incestu jest właśnie degenaracja, względnie osłabienie pokoleń, objawiające się albinizmem. Że zaś u nas degeneracji ptaków lekceważyć nie można, łatwo uwierzą czytelnicy z tych okolic, gdzie lotnych spiewaków jest bardzo mało, Dla tych okolic kwesja sprowadzania ptaków z zagranicy byłaby najżywotniejszą, bo jednym transportem możnaby na długie lata skutecznie odświeżyć krew i uregulować stosunek płci.

III.

Z porządku rzeczy należałoby wspomnieć o karmieniu naszych biednych przyjaciół w zimie. Ale to zbyt znane rzeczy. Gdy owoców jarzębiny braknie, trzeba z ziarnem do lasu ruszyć. Ptaszęta zaś szybko ściągają się do miejsc, w których pokarm zastają.

Inna ważniejsza sprawa leży mi na sercu, tę chcę poruszyć.

Wielu myśliwych truje lisy, aby podnieść stan zajęcy i sarn. To trucie odbywa się często albo nieodpowiednio, albo bez starannego dozoru i wtedy ostrze tej strasznej broni kieruje się pośrednio przeciw ptakom leśnym, w szczególności przeciw sikorkom.

Nieodpowiednim, wprost barbarzyńskim sposobem trucia lisów jest rozkładanie zatrutego ścierwa po lasach. Lisy, bursuki, wrony, sroki, kruki i nasze spiewaki leśne padają w niezliczonej ilości ofiarą. Nie koniec na tem. Po pewnym przeciągu czasu wyługowywuje wilgoć strychninę. Lisy zatrute padają wtedy w odległości kilku kilometrów od ścierwa. Tak daleko nie szuka ich myśliwy; lecz wkrótce znajdują je nasze pożyteczne sikorki, dziobią truciznę i giną setkami.

To samo dzieje się przy truciu lisów na gałki stearynowe lub orzeszki, jeżeli czynności tych nie wykonywuje prawdziwy myśliwy z pedantyczną starannością. W tej formie nastawia się trutki wieczorem, a rano się zbiera. Ale nie zawsze rozgryza lis gałkę na powłoce, często bawiąc się, odnosi ją daleko, a nawet czasem zakopuje ją w śniegu, aby w kilka dni później odgrzebać i przypłacić łakomstwo życiem.

Jeżeli w takich wypadkach myśliwy każdego strutego lisa nie odnajdzie, to może być pewny, że zdziesiątkował sikorki.

Rzuciłem luźne myśli. Rzeczą zdolniejszych byłoby myśli te rozwałkować, wyczerpująco opracować i wypróbować, a na podstawie dalszych doświadczeń dać nam wytyczne na przyszłość.

Mieczysław Beill



Korespondencje.

Z Wadowickiego.

Nareszcie jest czerwiec i podług nowej ustawy łowieckiej, wolno wybrać się na rogacza. Korzystam też coprędzej i wybieram się do rewiru, skąd według raportu straży łowieckiej, wychodzi najregularniej z gęstego zagajnika na smaczną koniczynę majową ogromny szóstak, o wspaniałych, wyniosłych, grubych, biało zakończonych rożkach. Dostaję się przed zachodem słońca na wskazane miejsce, siadam w gąszczu z dobrym wiatrem i rozglądam się po najbliższem otoczeniu. Tuż pod lasem łany, w tym roku przeważnie żyta, o wysokich, przeszło metrowych źdźbłach; nic przed sobą nie widzę — prócz owego żyta, Cieszy się moje serce rolnika na widok pysznych urodzajów, ale żyłka myśliwska, tkwiąca we mnie silnie i głęboko, klnie nową ustawę i myśli następujące przychodzą do głowy: gdybym mógł, jak poprzednio, być tutaj już 15. maja, żyto to nie zasłaniałoby mi widoku na znajdującą się po za niem koniczynę, a dzisiaj nawet nie ujrzę owego szóstaka, choćby go miała zwabić trochę już przestarzała koniczyna“.

Jaka mogła być przyczyna zmiany ustawy w tym względzie? Rogacze nasze lepsze, a o te przecież chodzi myśliwemu, starającemu się zdobyć piękną zdobycz mają parostki już w maju wyczyszczone i wygładzone; we wszystkich dzielnicach Austrji czy Niemiec wolno z 1-ym maja na nie polować. Dla czego u nas inaczej?

Czy uczyniliśmy to dlatego, że tak na sercu leży nam dobro i rozwój zwierzyny, a w takim razie jakże pogodzić te dobre chęci z całą nową ustawą, która nam zniszczy jedną gałąź, jedno bogactwo krajowego łowiectwa?

Wiem dobrze, że sfery myśliwskie nie winne temu, że broniły swej sprawy zacięcie i z zapałem, niestety uległy nowemu porządkowi, świetnym żywiołom demagogicznym, które pragnęły zgładzić z powierzchni ziemi ostatniego zająca i ostatnią kuropatwę. A jednak są okolice, kraje całe, gdzie obok najwyższej kultury rolnej, rentowości znacznej z gospodarstwa, znajdują się ogromne ilości zwierzyny, gdzie ludzie mają inne przekonania i doświadczenie, uczące ich, że kuropatwa n. p. jest ptakiem pod każdym względem pożytecznym, jako robactwo niszczącym.

Smutne te rozmyślania nie rozjaśniła zdobycz pięknego szóstaka, którego końce rożków tylko w życie ujrzałem; na koniczynę mniej smaczną nie wyszedł. Za to wieczór wiosenny, cudowny, z gwiazdami na błękitnym firmamencie, z zapachem rodzinnych pól i łąk i odgłosami licznego ptactwa, zatem kuropatw, przepiórek, chróścieli i bażantów, — powrót do domu przez tak pięknie zapowiadające się łany z podskakującymi na wszystkie strony zającami, wpoił we mnie otuchę, że ten rok będzie dla zwierzyny, a zatem i dla myśliwych doskonałym.

W kwietniu, podczas kilkutygodniowych słót i zimna znaleźli leśni u mnie kilka małych zajączków nieżywych, a pomimo to jest ich stanowczo więcej, niż w latach ubiegłych. Jako ciekawy fakt podaję, kończąc to sprawozdanie z naszych stron, iż widziano dwa stadka świeżo wyklutych kuropatw, w jednem jest ich 18, a w drugiem 16.

Strzyżów 9. czerwca 1910.

Łubieński
delegat.

Z Sanockiego.

Przebrzmiały echa słynnych ongiś polowań na dziki z psami. Dziś — śmiało powiedzieć można — wspomnienia jedynie po nich pozostały. W górskim zakątku sanockiej ziemi ostał się przecież wytrawny myśliwy, który poluje z psami z jak najlepszym skutkiem.

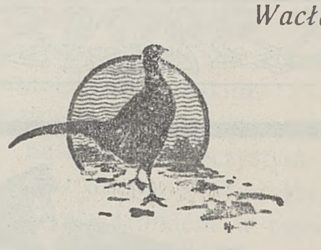
Korzystając z łaskawego zaproszenia Juliana Mickiewicza, wybrałem się w lutym na kilkudniowe łowy na dziki, do Zawadki.

Zaraz pierwszego dnia rano, przyjechał leśny Józef konno z raportem, że locha z warchlakami obcięta pod „Morgami“, a odyniec w „Starym zrębie“. Gospodarz, który nawiasem mówiąc liczy obecnie blizko lat ośmdziesiąt, pierwszy był gotów, my cokolwiek później, ale ostatecznie w godzinie byliśmy już w lesie.

Ponieważ odyniec kilka razy już się myśliwym wymknął, postanowiliśmy najpierw wziąść miot na niego. Leśnemu polecono puścić psy Perkuna i Komara w trop odyńca. Rozstawiwszy się, po niedługim czasie usłyszałem psy atakujące dzika i zbliżające się ku mnie. W odległości może 100 kroków od mego stanowiska psy dzika osaczyły w gąszczu — zaczem zacząłem ostrożnie podchodzić go. Nagle usłyszałem przeraźliwe skomletnie — to dzik ciął psa. — W kilka sekund później zobaczyłem ogromnego odyńca przed sobą w odległości dziesięciu kroków, Strzeliłem, — dzik padł na miejscu. Dawszy znak trąbką „na trupa“ pośpieszyłem do psa Perkuna, który z rozdartym bokiem łasił się do mnie. Po zaszyciu psu boku kazaliśmy go zanieść na sanie i zaniechaliśmy już dalszego polowania. — Zastrzelony odyniec ważył 223 klg.

W kilka dni później wyjechaliśmy znowu do lasu, gdzie Perkun z niezagojonym jeszcze bokiem doskonale atakował dziki. Syn gospodarza p. Marjan zastrzelił tego dnia dużą samurę, a leśny warchlaka.

Wacław Popiel.



Kącik humorystyczny.

Rozum psów.

— Więc pan twierdzi, że psy mają więcej rozumu, niż ich panowie?

— Naturalnie; chociaż, z drugiej strony, to się bardzo rzadko zdarza. Ale ja właśnie mam takiego psa. —

(*Łow. pol.*)

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Okazyjnie do nabycia mało używana, pierwszej jakości, znakomicie ostrzelana dubeltówka angielska, systemu **Lancastra** (kurkowa), cal. 12' firmy **„Geo. H. Daw. 57. Threadneedie Street London“**- Lufy „Croie“ (cylindryczne). Zamknięcie: „Patent Selp. Lo. king. Vertical Grip“.

Oglądać można w Redakcji „Łowca“, ul. Jagiellońska 3, od godz. 11—1, **a próbować tylko we Lwowie**.

Przy nadchodzącym sezonie oferuję psa legawego rasy niemieckiej, bardzo pięknego i dobrego, w trzeciem polu i sukę pointerkę w drugiem polu. Wyślę na okaz i na próbę, jednak tylko P. T. Myśliwym. Zgłoszenia: **Leśnictwo Bakocyn, p. Żurawno.**

Szczenięta pointery angielskie po znakomitych rodzicach, do sprzedania. Wiadomość: **Józef Dobrzyński Kraków**, Sławkowska 12.

Wyżeł **krótkowłosy niemiecki** „Ster“, w trzeciem polu, maść hreczkowata, dobrze ułożony, od „Rawy‘, Ö. H. St. B. 6091 po „Trolla“ Ö. H. St. B. 6040 XXIV., nagrodzonych na popisach w Przeworsku, suczka i piesek tej samej rasy 4-ro miesięczne, do sprzedania.

Zgłoszenia przyjmuje hodowca i treser: **Mieczysław Korasiewicz, Krzywcza nad Sanem.**

Kupię parę sarn tj. młodą sarenkę i koziołka. Zgłoszenia wraz z podaniem ceny do **Zarządu Dóbr Wiktorówka, p. Podhajczyki.**

ELEKTRYCZNE

ŚWIATŁO — SIŁĘ — SYGNALIZACJĘ etc., URZĄDZAJĄ

Sokolnicki & Wiśniewski

FABRYKA ELEKTROTECHNICZNA I ZAKŁAD INSTALAC.

LWÓW, Słowackiego 18. Tel. 665.
KRAKÓW, Bracka 8. Tel. 1206. = =

ŻYWĄ ZWIERZYNĘ

Do odstrzału: koguty bażancie, zające samce, dzikie króliki.

Do rozmnoży i odświeżenia krwi: zające, kuropatwy, bażanty, głuszce, cietrzewie, sarny, daniele, jelenie etc.

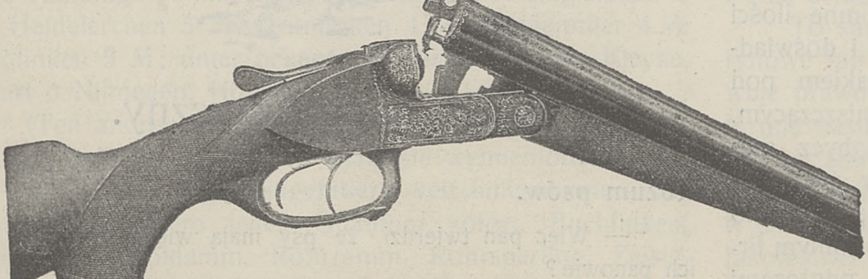
jak najtaniej dostarcza już teraz

F. HORAČEK, największy dom eksportowy dziczyzny na kontynencie w Martinitz-Starkenbach Czechy.

Jubiler

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**
WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.
Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.



Karol Birtus

Magazyn broni i towarów galanteryjnych

Tarnów, ul. Krakowska l. 1

poleca

Broń myśliwską najlepszej jakości, oraz wszelkie przybory dla P. T. Myśliwych.
Wyroby nożownicze oryg. angielskie w wielkim wyborze, jako to: brzytwy, scyzoryki, nożyczki, maszynki do golenia i strzyżenia włosów.
Przybory do podróży, kuferki, walizki i torebki.

Cenniki darmo i opłatnie

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**